



Jhumpa Lahiri

*Zagubieni
wśród
hiacyntów*

1

Na wschód od Tolly Clubu, za rozwidleniem Deshapran Sashmal Road, stoi niewielki meczet. W bok rozciąga się spokojna dzielnica. Labirynt wąskich uliczek i skromnych domów zamieszkanym przez klasę średnią.

Na tym terenie były niegdyś dwa stawy, podłużne, jeden przy drugim, a za nimi kilkuakrowe pole.

Wraz z końcem monsunu woda w stawach podnosiła się tak wysoko, że nie było widać usypanego między nimi wału. Zalewała również pole na głębokość trzech, czterech stóp i stała tam przez część roku.

Rozlewisko pokrywało się łańcem hiacyntów wodnych. Rosły tak bujnie, że tworzyły na powierzchni jakby litą taflę liści. Zieleń kontrastowała z błękitem nieba.

Na obrzeżach stały tu i ówdzie proste chaty. Biedota brodziła po wodzie, szukając czegoś do jedzenia. Jesienią przylatywały czaple o białych piórach usmolonych miejską sadzą i nieruchomo wypatrywały żeru.

W wilgotnym klimacie Kalkuty parowanie odbywało się powoli. Jednak słońce w końcu osuszało rozlewisko i znów pokazywała się mokra ziemia.

Subhash i Udayan chodzili przez to pole wielokrotnie. Tamtędy prowadziła najkrótsza droga na położone na skraju dzielnicy boisko, gdzie grali w piłkę nożną. Omijali kałuże, przestępowali zalegające dywany z liści hiacyntów. Oddychali stęchłym powietrzem.

Jedne stworzenia składały jaja, które wytrzymywały porę suchą. Inne, żeby przeżyć, zagrzebywały się w błocie, udając martwe, i czekały na deszcz.

2

Nigdy nie postawili stopy w Tolly Clubie. Jak większość okolicznych mieszkańców mijali drewnianą bramę i ceglany mur setki razy.

Do połowy lat czterdziestych ich ojciec zza muru przyglądał się koniom na torze wyścigowym. Patrzył na nie, stojąc na ulicy wśród ludzi obstawiających gonitwy i innych gapiów, którzy nie mieli pieniędzy na bilet lub nie mogli wejść na teren klubu. Ale po drugiej wojnie światowej, mniej więcej wtedy, gdy urodzili się Subhash i Udayan, podwyższono mur, żeby uniemożliwić zagłądanie do środka.

Bismillah, ich sąsiad, pracował w klubie jako pomocnik noszący za graczami kije golfowe. Był muzułmaninem, należał do tych, co zostali w Tollygunge po podziale kraju. Za kilka pajs sprzedawał Subhashowi i Udayanowi piłki golfowe, zgubione albo zostawione na polu przez graczy. Na niektórych piłkach było rozcięcie, jakby rana na skórze, skąd wychodziło coś różowego i gumowatego.

Z początku brali kije i odbijali między sobą pokrytą dołeczkami piłkę. Potem Bismillah sprzedał im również kij golfowy, putter, z trochę wygiętym trzonkiem. Jakiś sfrustrowany gracz walnął

nim w drzewo.

Bismillah pokazał im, jak pochylać się do przodu i w którym miejscu trzymać kij. Gdy z grubsza ustalili cel gry, wykopali dołki w ziemi i zaczęli wrzucać do nich piłki. Choć do długich uderzeń używa się kija innego rodzaju, posługiwali się putterem. Golf różnił się jednak od piłki nożnej czy krykieta. Nie był sportem pozwalającym braciom improwizować do woli.

Na ubitej ziemi boiska Bismillah narysował plan klubu. Powiedział chłopcom, że w pobliżu głównego budynku klubu są stajnie, pływalnia i kort tenisowy. Restaurację, gdzie nalewa się herbatę ze srebrnych dzbanków, i specjalne sale do gry w bilard i brydża. Gramofony, z których płynie muzyka. Barmani w białych marynarkach, przygotowujący drinki zwane *pink lady* i *gin fizz*.

Niedawno kierownictwo klubu postawiło jeszcze więcej ogrodzeń, żeby zabezpieczyć się przed obcymi. Ale Bismillah twierdził, że w drucianym płocie po zachodniej stronie wciąż są dziury, przez które można się przecisnąć.

Subhash i Udayan czekali prawie do zmroku, aż gracze opuszczą pole, uciekając przed komarami, i pójść pić koktajle w budynku klubu. Plan trzymali w tajemnicy, także przed chłopcami z sąsiedztwa. Doszli do meczetu na rogu, wyróżniającego się czerwienią i bielą wśród okolicznych budynków, i skręcili w główną ulicę. Mieli ze sobą putter i dwie puste puszki po nafcie.

Przeszli przez Technicians' Studio i skierowali się w stronę pól ryżowych, gdzie kiedyś płynęła Adi Ganga i Brytyjczycy żeglowali do delty.

Teraz woda w rzece stała, na brzegu osiedlili się hindusi, uchodźcy z Dhaki, Rajshahi, Chittagongu. Kalkuta przyjęła przesiedleńców, ale zostawiła ich samych sobie. Po podziale kraju, który nastąpił dziesięć lat wcześniej, zajęli część Tollygunge,

tak jak deszcze monsunowe zagarnęły pole za stawami.

Części urzędników państwowych zapewniono mieszkania w ramach programu wymiany. Ale większość nowo przybyłych stanowili uchodźcy, napływali falami, utraciwszy ziemie swoich przodków. Początkowo przybywali wartkim strumieniem, potem szeroką rzeką. Subhash i Udayan ich pamiętali. Stado ludzi w posępnym pochodzie. Tobołki na głowach, niemowlęta przytroczone do piersi rodziców.

Mieszkali w szopach krytych płótnem lub słomą, o ścianach z plecionego bambusa. Bez urządzeń sanitarnych, bez elektryczności. W budach przy wysypisku śmieci. Gdziekolwiek.

To przez nich Adi Ganga, na której brzegu leżał Tolly Club, była teraz kanałem ściekowym dla południowo-zachodniej Kalkuty. To przez nich wzmocniono ogrodzenie klubu.

Subhash i Udayan nie znaleźli drucianego płotu. Zatrzymali się przy murze, w miejscu, gdzie był na tyle niski, że mogli przejść na drugą stronę. Piłki golfowe wypychały im kieszenie szortów. Bismillah zapewnił ich, że w środku znajdują mnóstwo piłek, na ziemi, wśród strąków tamaryndowców.

Udayan przerzucił przez mur putter. Potem puszkę po nafcie. Stanąwszy na drugiej puszcze, Subhash zdołałby się podciągnąć i pokonać mur. Ale nie Udayan, który był wtedy trochę niższy.

Spleć palce, polecił bratu.

Subhash złączył ręce. Poczul nacisk stopy, zdartą podeszwę sandała, przez chwilę ciężar ciała brata. Udayan szybko podciągnął się i usiadł okrakiem na murze.

Mam stać na straży po tej stronie, a ty zbadasz teren? – zapytał Subhash.

Jaka to przyjemność?

Co tam widzisz?

Sam się przekonaj.

Subhash przysunął puszkę do muru. Stanął na niej, czując,

że pusty pojemnik się chwieje.

Idziemy, Subhash.

Udayan przyjął odpowiednią pozycję i zsunął się z muru. Widać było tylko jego palce. Po chwili rozluźnił uchwyt i skoczył. Subhash usłyszał, jak sapie z wysiłku.

W porządku?

Pewnie. Teraz ty.

Subhash chwycił krawędź muru i przylgnął do niego pierśią, ocierając sobie kolana. Jak zwykle nie wiedział, czy bardziej zirytowała go śmiałość brata, czy własny brak śmiałości. Miał trzynaście lat, był starszy o piętnaście miesięcy. Ale bez Udayana tracił poczucie własnego ja. Jak sięgał pamięcią, brat był zawsze obecny, w każdej chwili.

Nagle już nie byli w Tollygunge. Wciąż słyszeli przejeżdżające ulicą pojazdy, ale ich nie widzieli. Dokoła rosły potężne drzewa: czerpnie i eukaliptusy, kufliki i uroczyny.

Subhash jeszcze nie widział takiej trawy: równo jak dywan ścielącej się po pochyłym terenie. Pofalowanej niczym piaski pustyni albo lekko kołyszące się morze. Na greenie do treningów koszone ją tak krótko, że w dotyku przypominała mech. W tym miejscu ziemia była gładka jak czaszka, a zieleń jakby o ton jaśniejsza niż gdzie indziej.

Nigdy dotąd nie spotkał tylu czapli w jednym miejscu. Poderwały się do lotu, gdy podszedł za blisko. Drzewa rzucały popołudniowe cienie. Uniósł głowę i zobaczył, że gałęzie układają się w literę Y, jak zakazane strefy na ciele kobiety.

W głowach im się kręciło z przejęcia, że wdarli się na cudzy teren, i ze strachu, że ktoś ich przyłapie. Ale nie zauważył ich ani dozorca, ani strażnicy patrolujący teren pieszo i konno. Nikt nie przyszedł ich wygonić.

Trochę się uspokoili, ujrzawszy szereg chorągiewek umieszczonych na polu golfowym. Dołki wyglądały jak pępki

na ziemi, z plastikowymi kubełeczkami i zatkniętymi chorągiewkami, które wskazywały kierunek uderzenia piłki. Gdziekolwiek widać było płytkie zagłębienia z piaskiem. Kałuże na fairwayu, o dziwnym kształcie, jak kropelki widziane pod mikroskopem.

Trzymali się z dala od głównego wejścia, nie mając odwagi zbliżyć się do budynku klubu, gdzie cudzoziemcy przechadzali się parami pod rękę albo siedzieli w plecionych fotelach pod drzewami. Co jakiś czas, powiedział im Bismillah, odbywały się tam przyjęcia urodzinowe dla dzieci z brytyjskich rodzin nadal mieszkających w Indiach; urządzano wtedy przejażdżki na kucykach, podawano lody i tort z zapalonymi świeczkami. Choć premierem był Nehru, w głównym salonie, na honorowym miejscu, wisiał portret królowej angielskiej Elżbiety II.

W odosobnionym zakątku, gdzie mieli do towarzystwa zabłąkanego bawołu, Udayan wykonywał gwałtowne zamachy. Unosił ręce nad głowę, ustawiając się do uderzeń, i wywijał putterem jak mieczem. Rozrywał idealnie utrzymaną darni, gubił piłki w wodzie. Musieli szukać następnych na roughie.

Subhash stał na czatach, nasłuchując odgłosu końskich kopyt w szerokich alejkach wytyczonych na czerwonej ziemi. Słyszał stukanie dzięcioła. Ciche uderzenia sierpa, dolatujące z części klubu, gdzie przycinano trawę ręcznie.

Gromada szakali o płowej, szaro nakrapianej sierści siedziała czujnie w kilku stadach. Gdy słońce zaczęło przygasać, część zwierząt ruszyła na poszukiwanie jedzenia, szczupłe sylwetki pomknęły prosto przed siebie. Rozpaczliwe wycie, niosące się echem, uprzytomniło braciom, że jest już późno, czas wracać do domu.

Zostawili puszki po nafcie, jedną na zewnątrz muru, żeby zaznaczyć miejsce. Drugą schowali za krzakami na terenie klubu.

Podczas następnych wypadów Subhash zbierał pióra i dzikie

migdały. Przyglądał się sępom, które kąpały się w kałużach, a potem suszyły rozpostarte skrzydła.

Pewnego razu znalazł jajko, nieuszkodzone, które wypadło z gniazda pokrzewki. Ostrożnie zaniósł je do domu i włożył do glinianego pojemnika po słodyczach, przykrywając gałązkami. Gdy nie wylął się ptaszek, zakopał jajko w ogrodzie za domem, pod drzewem mangowym.

. . .

Któregoś wieczoru, gdy przerzucili putter na zewnątrz i przeszli z powrotem przez mur, zobaczyli, że po drugiej stronie nie ma puszki po nafcie.

Ktoś ją zabrał, powiedział Udayan.

Rozejrzał się wkoło. Było coraz ciemniej.

Tego szukacie, chłopcy?

Policjant patrolujący okolice klubu pojawił się znikąd.

Zobaczyli wysokiego mężczyznę w mundurze. Trzymał w ręku ich puszkę.

Podszedł kilka kroków ku nim. Zauważył leżący na ziemi kij golfowy, podniósł go i obejrzał. Postawił puszkę na ziemi i włączył latarkę, kierując światło najpierw na twarze obu chłopców, potem na całe sylwetki.

Bracia?

Subhash kiwnął głową.

Co macie w kieszeniach?

Podali mu piłki golfowe. Patrzyli, jak policjant chowa je do kieszeni, oprócz jednej, którą podrzucał i łapał.

Skąd je macie?

Milczeli.

Ktoś was zaprosił dziś do klubu, żebyście pograli w golfa?

Pokręcili głowami.

Sami dobrze wiecie, że to teren zamknięty, powiedział

funkcjonariusz.

Lekko oparł trzonek puttera na ramieniu Subhasha.

Pierwszy raz tu przyszliście?

Nie.

Ty wpadłeś na ten pomysł? Taki duży chłopak powinien być mądrzejszy.

To był mój pomysł, oświadczył Udayan.

Masz oddanego brata, zwrócił się do Subhasha policjant. Chce cię chronić i bierze na siebie winę. Tym razem, mówił dalej, wam daruję. Nie zawiadomię klubu. Pod warunkiem że nie będziecie próbowali zakraść się tu znowu.

Nie będziemy, obiecał Subhash.

Dobrze. Mam was zaprowadzić do rodziców czy skończymy naszą rozmowę tutaj?

Skończymy tutaj.

No to się odwróć. Tylko ty.

Subhash stanął twarzą do muru.

Jeszcze krok do przodu.

Poczuł uderzenie stalowym trzonkiem w pośladki i tył nóg. Drugie smagnięcie, zaledwie przelotne dotknięcie skóry, zwaliło go na ręce i kolana. Dopiero po kilku dniach zeszyły pręgi.

Rodzice nigdy ich nie bili. Początkowo nie czuł nic prócz odrętwienia. Potem miał wrażenie, że wylano mu na skórę garnek wrzątku.

Przestań! – wrzasnął na policjanta Udayan.

Kucnął obok Subhasha i zarzucił mu rękę na ramiona, chcąc go osłonić.

Przyciśnięci do siebie, napięli mięśnie. Opuścili głowy, zamknęli oczy, obolały Subhash wciąż nie mógł utrzymać się na nogach. Ale nic więcej się nie działo. Usłyszeli, jak putter przelatuje nad murem, po raz ostatni spada na pole golfowe. I jak oddala się policjant, który nie chciał mieć z nimi więcej do

czynienia.

3

Od dziecka Subhash był ostrożny. Matka nigdy nie musiała za nim biegać. Dotrzymywał jej towarzystwa, przyglądając się, jak przygotowuje posiłek na piecyku węglowym albo haftuje sari i bluzki na zamówienie krawcowej z sąsiedztwa. Pomagał ojcu sadzić dalej hodowane w donicach na podwórku. Kuliste kwiaty, fioletowe, pomarańczowe i różowe, czasem z białymi koniuszkami płatków. Jaskrawe barwy były w oczy na tle brudnoszarych ścian podwórka.

Czekał, aż skończy się bezładna zabawa, ucichną krzyki. Najbardziej lubił być sam albo tak się czuć. Leżeć rano w łóżku i patrzeć na ruchomy refleks światła na ścianie, podobny do trzepoczącego się ptaszka.

Pod siatkową kopułą trzymał owady i obserwował ich zachowanie. Chodził nad okoliczne stawy, gdzie jego matka myła naczynia, jeśli akurat nie przyszła służąca, i zanurzał złączone dłonie w mętnej wodzie, łapiąc żaby. Żyje we własnym świecie, mówiono czasem podczas dużych spotkań rodzinnych, kiedy nie reagował na czyjeś słowa.

Subhash był na widoku, natomiast Udayan znikał nawet w ich dwupokojowym domu; jako dziecko ciągle się chował, pod

łóżkiem, za drzwiami, w skrzyni, gdzie trzymano zimowe kołdry.

Zabawiał się tak bez uprzedzenia, znikał pod wpływem impulsu, wymykał się do ogrodu za domem, wchodził na drzewo, zmuszając matkę, gdy go na próżno wołała, do porzucenia swoich zajęć. Kiedy szukała Udayana, jak sobie tego życzył, i wykrzykiwała jego imię, Subhash widział na jej twarzy nagły strach, że syn się nie znajdzie.

Gdy podrośli i mogli sami wychodzić z domu, mieli przykazane, żeby nigdy nie tracić się nawzajem z oczu. Razem wędrowali krętymi uliczkami po swojej dzielnicy, za stawy i dalej przez pole na boisko, gdzie niekiedy spotykali się z kolegami. Chodzili do meczetu na rogu ulicy, siadali na chłodnych marmurowych stopniach, zdarzało się, że słuchali transmisji z meczu piłki nożnej w którymś radiu – dozorca meczetu nigdy się temu nie sprzeciwiał.

Z czasem wolno im było wypuszczać się poza dzielnicę, do miasta. Chodzić, jak daleko ich nogi poniosą, jeździć tramwajami i autobusami bez opieki. Mimo to meczet na rogu, miejsce modłów dla ludzi innej wiary, nadal stanowił ich punkt orientacyjny podczas codziennych wędrówek.

Potem, kiedy zaproponował to Udayan, zaczęli przesiadywać pod Technicians' Studio, gdzie Satyajit Ray nakręcił *Pather Panchali*, gdzie całe dnie spędzały gwiazdy kina bengalskiego. Od czasu do czasu, dzięki jakiemuś znajomemu, który był zatrudniony na planie, wprowadzano ich do środka, w kłębowisko kabli, drutów i reflektorów. Gdy zarządzano ciszę i stuknął klaps, chłopcy przyglądali się, jak reżyser wraz z ekipą robią kolejne ujęcia tej samej sceny, doskonaląc wygłoszenie kilku linijek tekstu. Dzień pracy, a dla widza chwila rozrywki.

Widzieli piękne aktorki, gdy opuszczały garderoby, osłaniając oczy okularami przeciwsłonecznymi, i wsiadały do czekających aut. To Udayan miał śmiałość prosić o autografy. Nie znał

uczucia zażenowania, tak jak zwierzę nie zna pewnych kolorów. Natomiast Subhash starał się być jak najmniej widoczny, tak jak zwierzęta, gdy wtapiają się w korę czy trawę.

Mimo różnic nieustannie ich ze sobą mylono i w rezultacie, kiedy wołano jednego, odruchowo odpowiadali obaj. Co więcej, czasem trudno było się zorientować, który odpowiedział, bo głosy mieli prawie nie do odróżnienia. Siedząc nad szachownicą, wyglądali jak lustrzane odbicia: jedna noga zgięta, druga wyprostowana w bok, brody oparte o kolana.

Byli tak podobnej budowy ciała, że mogli się wymieniać ubraniami. Identyczna cera, lekko miedziany stop pochodzący od matki i ojca. Wiotkie stawy palców, ostre rysy, falujące włosy.

Subhash zastanawiał się, czy w oczach jego rodziców spokój, jakim się odznaczał, nie jest brakiem polotu, może nawet ułomnością charakteru. Nie przysparzał im zmartwień, a jednak go nie faworyzowali. Jego posłannictwem miało być posłuszeństwo, skoro nie mógł ich zaskoczyć ani zadziwić. To robił Udayan.

Na podwórku przed ich domem rodzinnym zachował się najtrwalszy dowód niesforności Udayana. Ślady jego stóp, pozostawione w dniu, gdy wylano na ziemię beton. W dniu, gdy kazano chłopcom siedzieć w domu, dopóki wylewka nie stwardnieje.

Przez cały ranek przyglądali się, jak murarz miesza składniki w betoniarnie, potem wylewa i wygładza beton odpowiednimi narzędziami. Dwadzieścia cztery godziny, przestrzegł ich przed odejściem.

Subhash był posłuszny. Patrzył przez okno, nie wyszedł na dwór. Ale Udayan, gdy matka odwróciła się tyłem, wbiegł na długą deskę położoną prowizorycznie między drzwiami wyjściowymi a ulicą.

W połowie długości deski stracił równowagę. Drogę, którą

przebiegł, zaznaczyły odciski stóp na betonie. Szkodę można było naprawić tylko w jeden sposób: kładąc świeżą warstwę. Subhash zaczął się zastanawiać się, czy brat tym razem nie posunął się za daleko.

Ale ojciec powiedział do murarza: Niech tak zostanie. Nie ze względu na koszty czy nakład pracy, lecz dlatego, że w jego przekonaniu nie należało zacierać kroków, które postawił jego syn.

I tak to, co było skazą, zaczęło ich dom wyróżniać. Przyciągało uwagę gości, stało się rodzinną anegdotą, którą opowiadano w pierwszej kolejności.

. . .

Subhash mógł iść do szkoły rok wcześniej. Ale dla wygody – i również ze względu na Udayana, który nie chciał słyszeć, że Subhash pójdzie do szkoły bez niego – jednocześnie posłano ich do tej samej klasy. Do bengalskiej szkoły podstawowej dla chłopców z przeciętnych rodzin, która mieściła się za zajezdnią tramwajową, obok cmentarza chrześcijańskiego.

W identycznych zeszytach zapisywali dzieje Indii i historię założenia Kalkuty. Rysowali mapy, by poznać geografię świata.

Dowiedzieli się, że Tollygunge zbudowano na osuszonych gruntach. Przed wiekami, kiedy prąd w Zatoce Bengalskiej był silniejszy, rozciągały się tu mokradła, gęsto porośnięte namorzynami. Stawy oraz pola ryżowe i rozlewisko niedaleko ich domu były tego pozostałością.

Na lekcjach przyrody chłopcy rysowali namorzyny. Płataninę korzeni nad powierzchnią wody, pory do pobierania powietrza. Wydłużone siewki, zwane diasporami, w kształcie cygara.

Powiedziano im, że jeśli nasiona rozsypią się podczas odpływu, to zakiełkują obok drzewa macierzystego i rozrosną się na słonych moczarach. Natomiast podczas przypływu woda zabierze

je z miejsca pochodzenia i mogą dryfować nawet przez rok, zanim dojrzeją w odpowiednich warunkach.

Anglicy zaczęli karczować podmokłą dżunglę, wytyczać ulice. W 1770 roku za południowymi granicami Kalkuty zbudowali przedmieście, którego pierwszymi mieszkańcami byli głównie Europejczycy, nie Hindusi. Przechadzały się tam jelenie, a zimorodki śmigały nisko nad ziemią.

Major William Tolly, od którego pochodziła nazwa tej części miasta, pogłębił i odmulił kawałek rzeki Adi Ganga, znanej potem również jako Tolly's Nullah. Uruchomił żeglugę handlową między Kalkutą a Bengalem Wschodnim.

Teren należący do Tolly Clubu był pierwotnie własnością Richarda Johnsona, prezesa General Bank of India. W 1785 roku prezes wybudował willę w stylu palladiańskim. Z zagranicy, ze wszystkich krajów strefy subtropikalnej, sprowadził drewno do Tollygunge.

Na początku dziewiętnastego wieku Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska uwięziła w posiadłości Johnsona wdowy i synów sułtana Tipu, władcy królestwa Majsur, gdy ten zginął w czwartej wojnie angielsko-majurskiej.

Pozbawioną tronu rodzinę przywieziono ze Srirangapatny na dalekim południowym zachodzie Indii. Po wypuszczeniu na wolność otrzymała parcele w Tollygunge i tam miała zamieszkać. Gdy Anglicy zaczęli przenosić się z powrotem do centrum Kalkuty, Tollygunge stało się głównie siedzibą muzułmanów.

Choć po podziale kraju muzułmanie ponownie okazali się mniejszością, nazwy ulic pozostały w spadku po usuniętej dynastii Tipu: Sultan Alam Road, Bakhtiar Shah Road, Prince Golam Mohammad Shah Road, Prince Rahimuddin Lane.

Golam Mohammad wybudował ku pamięci swego ojca wielki meczet w Dharmatali. Przez pewien czas pozwolono mu mieszkać w willi Johnsona. Ale w 1895 roku, gdy natknął się na nią niejaki

William Cruickshank, Szkot przejeżdżający tamtędy konno w poszukiwaniu zaginionej psa, wielki dom stał pusty, zaanektowany przez cywety i porośnięty pnączami.

Za jego sprawą willę wyremontowano i przeznaczono na siedzibę country klubu. W uznaniu zasług Cruickshanka mianowano pierwszym prezesem. Przez wzgląd na Brytyjczyków, w początkach lat trzydziestych, linię tramwajową przedłużono daleko na południe. Dzięki temu mieli lepszy dojazd do klubu, unikali miejskiego tłoku i przebywali wśród swoich.

. . .

W szkole średniej bracia poznawali zasady optyki i działanie różnego rodzaju sił, liczby atomowe pierwiastków, właściwości światła i dźwięku. Uczyli się o odkryciu fal elektromagnetycznych przez Hertza i eksperymentach Marconiego w dziedzinie łączności bezprzewodowej. Jagadish Chandra Bose, Bengalczyk, na pokazie w kalkuckim ratuszu wykazał, że za pomocą fal elektromagnetycznych można zapalić proch i rozkołysać dzwon na odległość.

Co wieczór chłopcy siedzieli naprzeciw siebie przy metalowym biurku, każdy ze swoim podręcznikiem, zeszytem, ołówkiem i gumką, grając jednocześnie w szachy. Do późna uczyli się wzorów i rozwiązywali równania. W nocnej ciszy dolatywało wycie szakali z terenu Tolly Clubu. Zdarzało się, że wciąż nie spali, gdy wrony zaczynały skrzeczeć niemal wszystkie naraz, zapowiadając początek nowego dnia.

Udayan nie bał się spierać z nauczycielami w sprawach dotyczących hydrauliki czy tektoniki płyt. Gestykulacją ilustrował swoje argumenty i podkreślał stanowisko, grą rąk pokazywał, że wiedza o cząstkach i cząsteczkach jest w jego zasięgu. Czasem profesorowie wypraszali go z klasy, mówili, że przez niego koledzy opóźniają się w nauce, choć tak naprawdę to on

pozostawił ich daleko w tyle.

Przed wysłaniem braci na studia wyższe wynajęto korepetytora, który miał ich przygotować do egzaminów wstępnych, a żeby zarobić na jego wynagrodzenie, matka brała więcej szycia. Korepetytor był człowiekiem o ponurym usposobieniu, miał opadnięte powieki i podtrzymywał je klipsami na okularach. Inaczej nie mógł otworzyć całkowicie oczu. Każdego wieczoru przychodził do chłopców i przepytywał ich ze znajomości dualizmu falowo-korpuskularnego albo praw załamania i odbicia światła. Sprawdzał, czy potrafią przytoczyć zasadę Fermata: „Ruch światła od punktu A do punktu B odbywa się po takiej drodze, na której czas jej pokonywania jest najkrótszy z możliwych”.

Poznawszy zasady budowania podstawowych obwodów elektrycznych, Udayan zaznajomił się z instalacją w swoim domu. Zaopatrzony w zestaw narzędzi wykombinował, jak naprawić zepsute przewody i wyłączniki, powiązać druty, oczyścić zardzewiałe styki wentylatora, który stał na stole. Droczył się z matką, gdy owijała palec rogiem sari, bojąc się dotknąć kontaktu gołą ręką.

Kiedy w domu przepalił się bezpiecznik, Udayan, w gumowych klapkach, bez drgnienia powieki, odkręcił i sprawdził korki, a Subhash stał z boku, świecąc mu latarką.

Pewnego dnia Udayan przyniósł zwój drutu i z myślą o wygodzie gości zaczął robić dzwonek do domu. Zamontował transformator na skrzynce bezpiecznikowej i czarny przycisk przy drzwiach wejściowych. Następnie wybił młotkiem dziurę w ścianie i poprowadził przewody.

Po zakończeniu roboty oznajmił, że za pomocą dzwonka mogą ćwiczyć posługiwanie się alfabetem Morse’a. Korzystając z wypożyczonej w bibliotece książki na temat telegrafii, zrobił spis kombinacji kropek i kresek, odpowiadających literom

alfabetu, w dwóch egzemplarzach, dla siebie i dla brata. Kreska trwała trzy razy dłużej niż kropka. Po każdej kropce czy kresce zapadała cisza. Odstęp między literami trwał tyle co trzy kropki, odstęp między słowami siedem kropek. Chłopcy przedstawiali się inicjałami. Literę S, którą jako pierwszą Marconi odebrał z Atlantyku, oznaczały trzy szybkie kropki, literę U dwie kropki i kreska.

Na zmianę jeden stał przy drzwiach, a drugi był w domu, i tak wysyłali sygnały i je rozszyfrowywali. Z czasem nabrali dużej wprawy w przekazywaniu sobie zakodowanych wiadomości, niezrozumiałych dla rodziców. „Kino”, przychodziła propozycja. „Nie, zajezdnia tramwajowa, papierosy”.

Wymyślali rozmaite sytuacje, udając, że są żołnierzami albo szpiegami, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Że przesyłają tajne komunikaty z przełęczy górskiej w Chinach, z rosyjskiej tajgi, z plantacji trzciny cukrowej na Kubie.

Gotowi?

Droga wolna.

Współrzędne?

Nieznane.

Ilu przeżyło?

Dwóch.

Ilu zginęło?

Za pomocą dzwonka informowali się nawzajem, że są głodni, że zagrałiby w piłkę, że koło domu właśnie przeszła ładna dziewczyna. To była ich poufna rozmowa, podobna do wymiany piłki między dwoma graczami przesuwającymi się coraz bliżej bramki. Gdy któryś z braci zobaczył nadchodzącego korepetytora, wysyłał dzwonkiem sygnał SOS. Trzy kropki, trzy kreski i znowu trzy kropki.

. . .